Tam — cobądź,

ztąd — nic powiedzieć nie godziłoby się?

p. Abl. Dowmitowicz.

Mniej beztrzeźwej tej krewkości,
Więcej zdań promienistości,
Bez już sporo a pełniejszej,
Rzeczy wiedzy rozleglejszej;
A na prawdę Prawd i tędy,
Szumiałyby bujne grzędy,
Których szlakiem pusty gwar,
Zgliszczem zasłał Boży dar...

POZNAŃ.
W komisie Edmunda Kalliera.
1876.

Bronikowski Antoni

Tam — cobądź,

ztąd — nic powiedzieć nie godziłoby się?

Mniej beztrzeźwej tej krewkości,
Więcej zdań promienistości,
Lecz już sporo a pełniejszej,
Rzeczy wiedzy rozleglejszej;
A na prawdę Prawd i tędy,
Szumiałyby bujne grzędy,
Których szlakiem pusty gwar,
Zgliszczem zasłał Boży dar...

POZNAŃ.
W komisie Edmunda Kalliera.
1876.

Wstępne słowo Wydawcy.

Jak mierną była u nas krytyka, z jedynym wyjątkiem M. Grabowskiego i J. I. Kraszewskiego zwłaszcza, przed laty dwudziestu kilku, najwyraźniéj ta okoliczność wykazuje, że po tak długim upływie czasu i postępu, dziś jeszcze nie wyrobiła się ona, nie powiem do pełnéj sądu dojrzałości, bo téj zdolność znakomite już zaświadczają wyjątki, ale niezależności. Zbytek przyrodzonéj uczuciowości więzi swobodę poglądu na rzeczy w najświetniejszych dotąd jéj przedstawicielach; ten zbytek bowiem sprawia, że czy tym czy owym względom ubocznym łacno a potężnie dawając się usidlać, przeniewierzają mimo wolę i wiedzę może często, prawdzie przedmiotowéj. Zaczem nie jedno z wierszowego pierwszego kawałka w niniejszym zbiorku przyda się względnie dziś jeszcze po tylu latach, a także

w szczególnem odniesieniu do krytyki klasyczno-naukowéj, któréj dotyka drobnostkowiéj drugi ustęp rytmowy. Wszakżeż i trzecia Rozmowa z Dodatkiem uboczną jest jakby wymówką, że tak bystre oczy i tak poprawne pióra jak panów tych a tych, dozwalały i dozwalają bez strofowania szerzyć się samozwaństwu językowemu w mowie rodzinnéj. Posuwającemu zaś swawolę pióra aż do twierdzenia, że herezye popełniają stylowe ci, którzy znacznie dawniéj i dokładniéj starali się powiadomić, jak po polsku pisać należy; — osobno poświęcić mógłby ten ustęp spotwarzony.

Do uwag nad przekładem Odyssei przez L. S., rozrzuconych w odnośnéj pogadance, nie zawadzi dołączyć i te, które rozprawka o tymże samym przedmiocie drukowana w Dzienniku Poznańskim (r. 1875 Nr. 117. i 122.) zawiera. Lubo dałoby się jeszcze bardzo wiele powiedzieć o tém więcéj, gdyby — zdało się na co. Ale i usposobienie nasze nie znosi mozolniejszego zastanowienia się nad czembądź, i materya ta mało, nader mało literatów u nas dziś zajmuje; prąd czasu w końcu odrywa usposobionych nawet od lubowania sobie w tém, co niegdyś wielce popłacało. Niestety, nie usprawiedliwia to zaniechania prac — także nieodzownych. Coraz głębsze bowiem roboty na polu nauk starożytnych, coraz ściślejsze obeznawanie się z językami tych ludów, skłaniałyby powoli uczonych, pisarzy do przywłaszczania sobie

ich treściwego a strojnego na prawdę rzeczy wykładu. Zatem i czytelnik dzieł podobnie i treścią i kształtem przedstawianych, wdrażałby umysł do podobnegoż rozbierania wszystkiego — co pod uwagę przypadnie. Czemużby za czasem nie miała tą drogą odżyć na szerokie nawet przestrzenie owa dawna powaga, którą świetnieli Zygmuntowscy myśliciele? Wpływają'ć na to dzieje, klimat, temperament, ale także przemożnie kierunek, jaki myśleniu od pierwiastków wychowania zaraz nadany, zaczem utrzymywany przez pisarzów w życiu, czego dowodem nasi jeszcze Stanisławowscy ojcowie. Atoli trudno kusić się na teraz o podobne zdobycze, gdzie tego co gadasz nikt szczerze posłuchać nie ma ochoty. Niechżeby przynajmniej ci, którzy nibyto rzecz biorą również na seryo, zaprzątali się nią rzeczywiście w tym duchu, a w najgorszym razie, lekko w istocie jak drudzy zbywając to co na pozór tak nadzwyczaj poważnie wyświęcają, nie szarpali w zbytku oćmionéj zarozumiałości tych, co nie przeniewierzyli się obowiązkom sumiennego po odnośnych drogach pochodu. Ta niczem usprawiedliwić nie dająca się krzywda, spowodowała piszącego mianowicie do ogłoszenia rzeczy już nieco przestarzałych a nie wyczerpujących materyi bynajmniej wszak dość jasno wypowiadających i dzisiaj, o co ich autorowi głównie a słusznie chodziło.

Z wierszem o Homera przekładach dostał mi się nareszcie ów trzeci o kaleczeniu języka oj-

czystego, wraz z uwagami prozą nakreślonemi w przypisku. Zdało mi się tę robotę pomieścić tu razem, jako potrącającą o kilka myśli, które rzeczywiście do głębszego pobudzić zastanowienia sposobne. O związku zaś jéj z powyższemi już się napomknęło u góry a tu dodam jeszcze, że jakkolwiek o różnym całkiem rozwodząca się przedmiocie, to przecież jednę i tę samą ubocznie wyraża skargę i ta drobnostka na lekkość, jakiéj nietylko we wszystkich niemal umysłowych zajęciach, ale nawet w obec najdroższéj po ojcach spuścizny dopuszczają się, gorączką usposobienia a niecierpliwością ducha wieku zwiększoną, paleni i gnani — zaprawdę nie w przyszłość wesołą, jeżeli nie wyleczą się z febry, dopóki pora po temu. Albowiem jakżeż to jeszcze wyrażać będziem w ustroju narodów myśl własną, a przechowujem przecież ponojakieści palladium prawdy i zacności ku nawoływaniu rozbujałéj po za kresy zgododźwięcznego dziejów rozwoju braci, jakżeż — mówię — zabierać będziem na wiecu ludów głos, pozbawiwszy go powoli wszelkiego rodzimego dźwięku i kształtu?

Jak co komu —

PRZED LATY WIĘCÉJ DWUDZIESTU.

Lament na lament,
Prawda fundament,
Chociaż po latach
Kołace w chatach.
Z nowéj Bakłady.

Z swobodnego Muz czciciela,
Z jasnych grząd obywatela,
Z ptaka marzeń po błękicie
Błogie porzącego życie,
Spaść w te dymy i kominy
Zaśniecionéj gdzieś mieściny,
Zmienić żywot, myśli postać,
Chłopiąt ot magistrem zostać —
Przebóg, zwrot nie do zazdrości....

Toż na prawdę w jęk uderzyć,
Skargą ziemię, niebo zmierzyć,
Rozełzawić się w czułości —

Już gorąca chętka brała,
Pióro, lutnia w ręku drzała;
Gdy mi Geniusz[1]) zmącił strony,
Porwałem się — rozburzony;
Wzdy tym rzutem wzmogłem ducha.

— Lepszym śmiech niż skrucha!
Taka myśl mi mózg przeszyła;
To jest tylko ta przed wami,
Cni krytycy! — bo co łzami
Ciemne łono chmur przebiła,
W proch pomiotłszy korne czoło,
Duch poniosła w gwiezdne sioło,
Odtrącając złudne mary,
Wonią grobów tchnące czary;
I w rozjęciu już za życia,
W grodach niezmiennego bycia,
Oku jego nieśmiertelne,
Śnić kazała dni weselne —
Ach, dopóki tchnienia stanie,
I ten marny kłos na łanie,
Giąć tu w nicość, w żywot wznosić
Tam — za łaską Pana, będzie...

Ciałem płużyć, fraszką rosić
Po wygodnej życia grzędzie —
Nie to, serca braci, było,
Co w ukrycie pierś nęciło,
A wyrwane ztąd boleśnie,
Wycisnęło smutku pieśnie....

Świat gdzieś w pisem zastrzągł błota,
W cień promienna pada Cnota,
Jam w prostocie Bogu służyć,
Wy mądrością ziemi głużyć,
Wskazaliście — niepojęcie!
Ztąd boleści mej poczęcie,
Ztąd wydarte, acz zgnębione,
W głośne dźwięki łzy tajone...

Lepszym śmiech więc, podchwyciłem;
Choćby rymem drzał opiłym,
Jak ta cała czasu doba,
Ni to zdrowie, ni choroba;
Coś stępienie, coś zmartwienie,
Jakaś parność a dusząca,
Tu półsenna, tam sycząca,
Dni gorączki syte jadem,
Jakimś błyskotliwym gadem —
— Ale proszę baczyć znowu,
Że to tylko Recenzentów!

Gdzież przystało memu słowu,
Tykać świata elementów?
Co się gdzieś tam w tytaniczne,
W jakieś burze błyskawiczne,
Kłębią, wiją, mienią, toczą,
Nim do gromnych tanów skoczą
Na bezkresnej Dziejów fali,
Którą mistrze układali,
Obelisków i Sionu,

Thermopylów, Marathonu;
A znów po nich i za tymi,
Inni głośni dzieł olbrzymi,
Co przetrwały życia pieśnią,
Po nad głuchą wieków pleśnią.
W świetne szaty wystrojona,
Wielka nagród rozdawczyni,
Tron zasiadła znów bogini,
Wśród orszaku, dziejów Pani,
Gdzieś na czasów swych przystani....

Więc, Panowie, mnie nie o tém.
Do materyi skośnym zwrotem
Powracając — ci mi w myśli,
Co nas sądzić wyjdą, wyśli.
Przyczajeni — ten w Gazecie,[2])
Anonyme, tamten w Czasie.
Ten misternie coś zżyma się,
Ów rubaszniej, plewą miecie,
A poryka z Krasickiego...

Ten z Lessinga to z Goethego,
Złote listki, złudne słowa,
Obłamuje, zdobnie kowa,
By poważniej z szpalt patrzało,
A buńciuczniej w kraj pobrzmiało.
Z wielkich brył łuskane treści,
Pyłki myśli w świat szeleści,
Mistrzów mowy nikłe echa,
I — samemu ztąd uciecha.

Mrukiem, dźwiękiem tak szermują,
Perorują, wypisują.
A chorałem, a już rzędem,
Jakikolwiek się ukaże
Kwiatek na téj biednéj niwie,
W tym dławiącym życia skwarze;
Ledwo z ziemi trysł leniwie,
Nuże zioną słów swych swędem
Na biedaka, nieboraka.

Jakby los promienił słońcem,
Rola urodzajem wrzała,
I bogactwem przebujała,
Już trzebienia pod tem słońcem,
A nie sztucznéj ba pomocy,
A zachęty, a podniety,
Pobłażenia — choć zalety,
Pod trujące czasu nocy,
Przyzywała zesilona,
Od zagona do zagona....

Gdybyć jeszcze w tym ich jadzie,
Jasły skry ożywcze sądu,
Jako niegdyś w Mistrzów zwadzie
Zapładniały skiby lądu,
Myślą plennéj ziemi Niemca!
Acz kłujący — wszak rozjemca
Byłbyż nam, co myśli prądy
W wyższych światów smaga lądy,
I rwie mocą przekonania;

Płodni duchy, w tok swój słania,
A pomysłów błyskawice
Ciska w twórczych łon świątnice,
Z których, wieszczów tajemnicą,
W nowych ciał urokach świecą
Rzeszom, wiekom zachwyconym....

Niechże byłyby ot sobie
Sępy rwące, lwy szarpiące,
Ciała ofiar swych na grobie;
Być rozdartym, być pożartym
Od takowych przeciwników,
Chlubą jeszcze — zapaśników.

Ach, chroń Panie! Orły były,
W których piórka się upstrzyły,
Różnobarwne te puszczyki,
Drobne nasze Estetyki.
Najbiedniejszy twór co dławią,
Kolą i kąsają żądły,
W jakikolwiek kształt zastrzągły,
O daleko pyszkę pawią
W tył odmiecie tych zjadlików,
Bez ich brzęków, bez ich bzyków,
Zestawiony swą wartością,
Z przejałowych zdań nicością....[3])

Więc ot Geniusz co pomącił
W smętny dźwięk mdlejącą nutę,
Co mi łzę wnet z oka strącił,

A ze skruchy podbił w butę
Duch schylony znów ku ziemi —
Z myśli, widzę, zbiegł się temi,
Co na głębi jego mrzyły;
A w groźniejsze pono słowa,
Brzmiała gromka już ich mowa:

Łzy z pod serca wyciśnionéj,
Łzy téj życia krwią sączonéj,
Nie, nie będą więcéj piły
Nocne zmory, upiory.
Skryję odtąd ją dla Tego,
Co z Zenitu wysokiego,
Patrzy, widzi, krzepi, sądzi,
Patrzy, widzi, wie — kto trądzi!

Aza ów, co w dni nieplonu,
W trudzie twardym znojem źjętym,
Czuć, zwyczajów, życia łonu,
Głębi serca prądom świętym,
Które w istność wssał wraz z mlekiem
Oderwany ciosem losu,
Pchnięty obcym sączyć ciekiom,
Do nie swego słów pogłosu,
Giąć rodzimej myśli drgnienia,
Jak własnego zbyt istnienia —
Bez téj jednéj choć pociechy,
By w ogrodzie bratniéj strzechy,
Z całą myśli czuć swobodą,
Wypowiedział sam przed sobą.

W rzewnéj pełni, z piersi zgodą,
Co bolesną oto dobą,
Kara Pańska, losu srogość,
Mienią w ciężkich dni niebłogość?

Czy też ten — co w samolubéj
Pysze, dla chwilowéj chluby,
Aby złowić poklask płochy,
Z piośnki kształtem niepoczesnéj,
Szydzi zimno z łzy bolesnéj,
Słów ojczystych miota prochy,
Napojone żółci jadem,
Za skrwawionym życia śladem,
Gdzieś z ukrycia — ztąd jedynie,
Że nie jego tokiem płynie?

Tych słów grady, gniewne fale,
Ciskać miałem już w zapale —
Gdy mi widok przeciwników,
Ach, zaprawdę ni Zjadlików,
Naraz groźny szał ukoił,
Powiem — w litość gniew rozbroił....

Hurtem akord niewłaściwy
Więc przekładam w dźwięk pierzchliwy,
Myśli, lutni, — jako chcecie,
Lekko pieśniąc znów ku mecie.
Chwytam, zbieram wątek brzmiący,
I szlę daléj łaskocący,
Ku jasnemu zakończeniu.

Coś mię troszcze, że tam widzę,
Jak k'mnie w zastęp się zwieracie,
Ciemnem kołem zataczacie
Skrzydeł, piór i żądeł — Brzydzę
Ćmą się wszelką, lecz wiem, wierzę,
Żeście rzkomo nietoperze,
Straszne zwierzchnią no postacią,
W gruncie wnet — słowików bracią....
Jakem zaczął więc, Panowie,
Pozwolicie że domówię
Już ten temat osobisty.

Więc wyznaję. Deszcz plamisty,
Którym wam się tak podało,
Zlać i mego sadku planty,
Wcale nie pobieżał skàłą,
Jak widzicie, tnę kuranty,
Brak im tylko strof i liry.

Rzeczcie sami, jakem szczery,
Wiodąc dalej rzecz pod różą.

Dżgnięty kolcem mistrzów sztuki,
Skorzystałem wręcz z nauki,
Wciekłem w siebie w rozmyśleniu,
I zagadłem tak, w milczeniu:
Że Fortuna coś obrożą
Zjęła na wskroś śpiewną duszę,
Że w głos pościć, mrukać muszę;
W kryształ serca że widziadło,

Niby — życie zmorą padło;
Błam fantazyi co gdzieś złoci
Świat tam innym, mnie go błoci;
Że z kominów i dymnika
W którym siedzę, mgłą wynika
Myśl ma ongi coś swawolna,
Rękopiśna dzisiaj, szkolna —
Cóż w tem wszystkiem iście złego?
Na wtór z mędrcy konkluduję:
Świat to istnie Myślowego,
Stność co w Jestność kiełkiem pruje.
Nieinaczéj! Sam powiedział,
On, co tak jak my to wiedział!?

O jak błogo już bądź co bądź,
Gęsią, w jednę dudkę podąć!
Mnież to zatem snem przeleci
Żarem w łono chęć zaświeci,
Bym pożądał być inaczéj?
Lub w rozpiesłéj żądzy może,
Owéj doli tam prostaczéj,
Co śpiewając łan swój orze,
Pozazdrościł jasnéj wody,
Grząd przy domku, tchnień swobody,
W któréj, jak wieść pusta plecie,
Żywot wskazał Bóg poecie?

Fe, toż dziecinnego świata,
Dawno szczezły senne lata;
Wilgne serca w czaszki twarde,

Miękkie czucia w myśli harde,
Co rzewniło w Um skowało,
W mgły Idei się rozlało...
Jeśli wreszcie gdzie się roi
Innym, Mędrcom nie przystoi —
Z żaczki gonić na wakacye.

Gdy zastruka żóraw, jęknie
W gajach słowik, kwiat rozpęknie,
Zawonieją bzy, akacye
Barwą śnieżną, krwawą spłoną;
Niech chłopiętom skry owioną
Serca w łonach — sądzę słusznie,
Wam, mnie, godniej być zadusznie;
Co najwięcéj, ot uczenie
Patrzać, co, zkąd, doba żenie.
A nareszcie w puste chwile,
Cieszne składać krotofile.

Dzięki wam, nauczyciele!
Właśnie w porę mi się ściele,
Popróbować cnéj nauki.
Spieszcie dotąd — nad te bruki —
Stańcie kołem — wśród te gmachy,
Oto pieśń już brzmi przez dachy.

— „Mruczą dudy pod oknami,
Żydki czubią się śledziami,
Żydóweczki pierzowłose,
Skaczą, krzyczą, brudne, bose.

Wije się i kłębi bura,
Śmieci, piór, kurzawy chmura.
Jakżeż błogo mnie to wzrusza,
O jak zachwycona dusza
Hen się wznosi, wy to wiecie,
W tym babelnym zwarta świecie,
Owonionym ćmą błękitów,
Co z semickich wioną szczytów..."

Szczęśliw jestem! Precz odemnie
Wsze a wszystkie tęsknic ciemnie,
Heureka!... Summa summarum,
Monit nie puściłem parą,
Jak baczycie — ni podrwiłem.
Za podszewkę duszy wszyłem
Wszystko coście mi zwieścieli;
Stłukłem lirę, gniotę troski,
Pozostając co do głoski,
Jakimeście mieć mię chcieli.
I kiedyśmy znów na słońcu,
Słówko tylko jeszcze w końcu.

Bacząc, jak mi nie przystoi,
Gniew rozpalać mężów w zbroi
Tej nauki, tego gustu;
Do wyższego prąd upustu
Podstawiłem — wywnętrzenia
Z inwektywy do zwierzenia
Poginając korne słowo,
I zaprawdę nie jałowo

Motywując w toku rzeczy,
O tych plamkach nic do rzeczy,
Na tym pewnym firmamencie,
Pod którym się wpół zrodziło
— Bo pół gorsze ma poczęcie —
Co tak czarno was zżółciło.

Mam otuchę, że to w błogość
Wraz przebrało dziką srogość,
Któręście jeszcze pałali,
Wraca do łaski, kto — chwali.

Więc z weselem już na czole,
Szlę wam służby, w Ryczywole.

Rozmowa
telegrafem myślowym
z północy na wschód
o najświeższych Homerowiczach polskich.

Kochaneczku, a więc tu n'es plus de la partie?
— Raz na zawsze orzekłem, że ani mi się śni.
— Może pod maseczką innego psotnika?
— Jak nie zwolnisz, takiego wypalę ci psika —
— Wypaplasz anonyma? — Dość on już przejrzysty.
— No, w kołku poświęconych? — W powiat okolisty!
— Jakże to przecie? — Mon vieux, tu m'ereintes,
[bądź zdrów.
— Palże cię licho, Wojtku; a ty tam krasnych snów,
Zsrebrzony towarzyszu, otwieraj kwaterę
Myśli wpadam jaskółką, dawaj serce szczere,
Pod cieplejszego słonka Bosporu promieniem,
Młody duszą, Wicusiu, acz zgięt lat brzemieniem.
— Kostniecie djablo, słyszę. Już pono praszczura

Zaraziła się od was, jak czytam, natura,
I w Kwietniu jeszcze białej nie zrzuca niedźwiedni.
Ale czem cię ugościć, jak na dzień powszedni?
— Zamienimy w świąteczny, tylko gwarz, jak temu —
— Cóż z wiekiem się rozliczać? Wszczynaj po dawnemu.
— Bój o Homera, druhu, rozewrzał zacięty.
Ale nie o to gore, który z dwóch w tan wzięty
Odyssei tłumaczów, wawrzynem zdobiony,
A któren w kramne tytki ma być rozkrojony;
Już od Krakowa na wszerz rzecz zdecydowana:
W niebo wzięta Wersya szczęsnego Lucyana.[4])
O profesorską tylko znawce się cietrzewią,
Jak pochłonąć niezdarą poczwarkę wraz z trzewią,
By śladu nie zostało na młode żołądki
Niebezpiecznej potrawy, gdzie w jakie zakątki
Niedoświadczonych trafem zbłąkanej na półki —
— Jak szczebiot w aloesy me zbiegłej jaskółki.
Wszak nie nowości wieści. Znana mi ta wrzawa,
Nawet, zkąd ma poczęcie zabawna obława
Na zwierza, Bóg zmiłuj się, potulnego zbytnio;
Tak łacno otumanić naszą pasożytnią!
Misterniejszy niż słówek, włókn figlarnych snowacz,
Jak swój towar publice cenniej sprzedać, głowacz,
Na czas przemyślnej sztuki porozpinał siatki.
Zrazu po Pismach różnych tu i owdzie gadki,
Potem udatne próbki już z dzieła w porodzie,
A z akompaniamentem co animusz bodzie,
„Jak to mistrzowskie! cudne, jak monumentalne!“
Gdy tak coraz donośniej heroldy tubalne
Głusząc, wreszcie sąd wszelki, gdzie się w czaszkach znalazł,

Zgniotły grunt uprawiwszy, że bezmyślą zalazł;
Tedy wśród otępioną słuchaczów arenę,
Ktosiś w Lwowskim Przeglądzie na harc puszcza wenę
Rozciąglejszéj gadulji o dwóch nieborakach,[5])
O prym goniących z sobą w spolszczenia niesmakach
Nieśmiertelnego piewcy uroczéj Maeonji,
Zakałą niezaszczytu[6]) dla biednéj Polonji.
W te tropy podjął frazes wdzięczny Przegląd Polski
Wywieszając w okładce co rzekł ksiądz Podolski,
Jak szyld, przez trzy zeszyty, jeśli się nie mylę.
Teraz dopiero, mistrz sam, w uroczystą chwilę,
W tomie ogromnym kwarto, papier jak śnieg biały
Wybrawszy (co się chwali), w karty okazały
Obrazków poczet mieszcząc, snać ku dziatwy znęcie,
Stawił skromnie gorących lat czterdziestu chęcie:
Poetę (rzekł) Homera, nie skalkowanego,
Jak dawniéj, mniéj oględnie wybrzmiał termin jego.
I — plaudite, Quirites! wraz dźwiękły rozgłosem
Efemeridy liczne. Niwa jedna skosem
Coś bąknęła i Dziennik Poznański się jąknął,
Lecz wraz, jakby przez skrupuł, łagodniéj odchrząknął.
— Widzę, Wicusiu, żeś ty ściśléj obeznany
Odemnie, który'm w miejscu; ależ takie plany?
Przesadzasz domysłami pono — Znam swych ludzi.
— Cokolwiekbądź, jeżeli to cię nie potrudzi,
Jakże Zatheya[7]) zdały tobie się uwagi?
— Nie odmawiałbym pewnéj i ja im powagi,
Gdyby po ścisłym wstępie nie zbył zbyt pospiesznie,
O co głównie chodziło, ba, powiem wręcz — śmiesznie —
— Że szczegółowo wnikłszy w poprzednich wysiłki —

O herosie czci własnej wystrzelił, jak z piłki.
O ziemię'm cisnął. Z szczerem czytawszy zajęciem
Zdania trafne, dojrzałe; z rosnącem napięciem
Gdy wiedzieć pragnę co rzekł krytyk nie ladaszczy
O głównym figurancie — tnie dithyramb płaszczy!
A niechże go kwintesy! — Uwzględnij stosunki.
— Sztuka zna jedno z kunsztu prawdą obrachunki.
— Pomińmy to, Wicusiu. Jakżeżże przyjmujesz,
Co o Ostrowskim prawi wyrobie? — Żartujesz,
Palnąłbym wprost do niego, anatem rzucając,
Nawet na Mickiewicza, gdy lepiej to znając,
W braku u nas spondeju, rytm trochejem wiąże;
Jeszcze z nim starożytnym w takt jakoś podążę,
Czasu strata zbyt skąpa. Następnie to zdanie:
„Przekład się nie podobał" tak goło, mój Panie,
Nic nie twierdzi ni zbija; racyi potrzeba,
Chociażby była twarda. Gust doby Horacy[8])
Zmyślił dopiero, zkąd go Galijscy junacy
Modłą twórstwa zrobili. Lecz czynów bułaty
Poezyą u tych były, co przemocą światy
W nowe gięli porządki. Wyższe brył tych prądy
Zdobywać i rozwijać w ideału lądy,
Innym zdane zostało, i wtenczas i ninie.
W francuskie zsidlon pęta, dawniej Rzymianinie,
Stąpający przyciężko, jakby grand hiszpański,
Dziś wiotki — czas być sobą, mołojcze słowiański!
— Brawo! A tam mówiono, że i duch z turecka
Nie.o powisł już w tobie. On wzdy ci z szlachecka
Rozgoreć animuszem, jeszcześ mocen gracko!
Jak gdyś improwizował nam kiedyś tak chwacko,

Czy pomnisz? *o tych chmurach, królach nadgoplańskich,*
O tych bogunkach, krasnych łęgach nadobrzańskich —
— Znękała Heraklesa kiedyś przebogata
Ziem tutajszych przyroda, to słońce, to życie —
Wszak zasiew stron rodzinnych stawi opór skrycie.
Lecz ad vocem Zatheya — nie ma więc słuszności.
Był téż winien o trudzie wpleść coś Jegomości,
Więcéj k'rzeczy nad puste — *„to już coś innego,“*
„To wielkiéj znak miłości rzecz tłumaczącego“
I nieco jeszcze takich gruchawek gumowych.
Mojem zdaniem zasłużył znój studyów surowych
Na baczność lepszą, wszakże i coś ma zalety —
— Zawsze to sztukamięsa, lecz pieczeń a wety?
— Iżali ci mam księgę wygadać pękatą?
— Tę napiszesz, gdy zechcesz. Lecz także bogato
Zasobiłeś materyał w *pro* i *contra* o tém?
— By u obcych, co rzekę, nie legło za płotem.
Czyż i mógłem inaczéj po takiéj przegrawce?
— Ściągniętéj w essencyą rad będę rozprawce.
— Ścieśniam słowo, jak pragniesz. A naprzód prawię
O tem, na co mój wyrok pada dość łaskawie.
Język pana tłumacza kształt ma nie od dzisia;
Tu i owdzie zdradzi się misterność trefnisia,
Wszak i to nie jak zwykle, skrywa ją usilnie,
Miłego *odniechcenia* baczen nader pilnie.
Alić czyste polszczyzny dźwięki nie stanowią
Jeszcze rodzimej stylu budowy, jak mówią,
Tę tok, układ wyrazów tworzą, znawców zdaniem;
A Francuzem pan Lucyan jest myśli wydaniem,
Którzy byli dlań szkołą, i zkądinąd zdrożną.

Za mistrzami, dla niego, jest poezyi próżną,
Choć jak nadobna z rytmu, z słów doboru mowa,
Jeżeli rym jakibądź kończyn jéj nie skowa.
Natomiast, byle tylko w téj się zwarła więzi,
Wyrozumiały dosyć, choć w prozę zagrzęzi.
O strojniejszéj po stokroć wyrazów ozdobie,
Co w takt dźwięków lutniowych pędzą wtórząc sobie,
O tém w spadkach mierzonych bujaniu się myśli
Bogów pogłosem, nie wie, albo dziwy kryśli.
Boć zaprawdę termina *nie* kunsztu istotę,
Pochwytał z szkoły, zda się. Tém całą robotę
Około przerabiania Homera podjętą
W samém jądrze popsował. Toż będzie przynętą,
To niby z ciała kości na polskie przelanie,
Lecz dla kogóż? Dla Edków złotych; może Franię
Zaprzątnie jaką, chwilkę, znawców jednodniowych,
Nie zabawi spragnionych posłuchać spiżowych
Liry Homera tęten. Zdałożby się przecie,
Zwrócić już kutąd, w ciasnym gęślącą powiecie,
Domorodą bogdankę; zdałoby wspanialsze
I formy oraz wzory wskazać jéj, a trwalsze.
— Gdy wnet rumienić bodaj przyszło nam się oto,
Nieświadomym, co o kres już gminu pustotą.
— O zaiste rytmowych nie szukać uroków
W téj Odyssei, grudniowych pełnéj miar podskoków
— Anić tonu jakiéjbądź w niéj jednolitości.
Przerwami chyba nieco majestatyczności,
Którą wzniosły do końca wieszcz w oryginale.
— Natomiast raz wraz płaski wyraz bluzł w słów fale,[9])
I kwiat zbryzgał lub zmartwił. — Ja prawiebym sądził,

Że tłumacz w pole nieco sporne sobie zbłądził.
Aby sprostać powadze tak długich rozmiarów,
I zapędu innego trza i duszy darów.
— Ni ja zrozumiem także, jak umysł kolczaty,
Na głębi wzorków chciwy, z fraszką iść w palcaty,
Zdolen oko wytężyć spokojne na długo
W przestrzeń wielkich obrazów, by barw, zdarzeń strugą,
Szumiącą w okół złudnie, nie podrażnion zgoła,
Bystrą wszystko na wszechkroć źrenicą sokoła
Objął, zstrzymał, zestawił w wspaniałym ogromie,
Nie zwięziwszy skłonności gdzie w judziej oskomie,
Ku pustocie natchnienia? — Nieściłość przekładu,
Opuszczenia, dodatki, treść już nie do składu
(Roszcząca ci też przecie prawa do swej prawdy)
Nie mówiąc o opisów, o przyrody zawdy
Sumiennem malowidle w poetów książęciu;
Ku jakiemuż nauki stawi się ujęciu
Taka metamorfoza? Bogu to wiadome.
— Do Indyi chromemu bliżej na Kostromę,
Niźli do prawdziwego tą drogą Homera.
— Dziw to jednak już ludów, a tamto mniej zera.
— Takżeż nie dopowiedział Zathey? — Inni przecię.
Wraz w *Przeglądzie Krytycznym*[10]) pan profesor miecie—
— Wypisami z *handbuchów* nie stęga pokrywa,
— Jak nie całkiem na swoje rzeczy się podrywa?
— Jak sobie bądź, wracając do sprawy początku,
Uderzaż bo istotnie w tym krytyk rozwrzątku,
To na jednego taki rozjedzone szczucie,
Jakby przez źle tajone drażnione poczucie,
Iż nie zgoła to takie po prostu ladaco,

Chociaż tylko półroczną dopędzone pracą,
Jakby się po ziem kresach rozwołać żądało;
A nużby się po latach przyszłym na coś zdało?
— Gdyby ich secinami, jak nas teraz kilku,
(Reszcie greczyzna zwrotką o żelaznym wilku),
Wzięto w kluby po szkołach, jak tam Schoeler ongi...
— Przepadłyby cudackie wreszcie Muzo-pstrągi,
Rwące się tak zuchawo kapłanić nauką,
Której pozory bodaj nanizały sztuką;
Prawiący o Hellenach, jak ciemni o barwach,
Tłumaczący ich dzieła, o zgrozo!.... Jak w larwach,
W téj trzynastozgłoskowéj skakaninie rymów
Utykać nakazują swobodzie olbrzymów,
Któż odgadnie, jakiemi prawidły prozodyi
Eurythmji wychowańcom, pieszczochom melodyi —
— Pogadawszy, nie jątrzmy krwi lepszéj na próżno,
Ta niwa długo jeszcze zalegnie odłożno.
— Indziéj, czego nieznają, z skromnością przyjmują,
Dowiadują się, uczą, śledzą, trutynują.
U nas na wszystko butna wraz ograniczoność
Jaśnie pańsko się miota. Miałka ztąd uczoność,
A niebios tykająca głów zarozumiałość.
Mniejsza, zazdrość. Przeraża w Grekach jéj zuchwałość.
Lecz w zapasach geniuszów, z świetnéj nienawiści,
Wypadały gromami arcydzieł korzyści.
Nasze współzawodnictwa martwość płodzą żyznie...
— Świadczy o tém zapłata w myślowéj ojczyznie,
Choć i takich wysiłków — Acz co indziéj dawno
Rzeczywistość szczęśliwą wydało i sławną,
To w swéj cząstce przysporzyć znoją się jedynie.

— Forsa niby znów dawna i w duchów dziedzinie —
— Niestety! komuż na zysk? — Wszak nadziei troszka
Zda się, przyszłość nieznana, a z drobnego proszka
I cedry wyrastają — Bóg daj chociaż dęby,
Na te świecące pustką dokoła poręby...
— Lecz na dziś basta! Wpadłem pierzchliwą jaskółką,
Powracam swoim traktem wesołą kukułką,
By pozwiastować wiosnę, co zastrzęga nieco.

Na to Wojtuś od proga: Tak ci oczka świecą!
Zgadam prawie, gdzieś myślmi gnał à la debandade,
Co się na psa przydało. Wracam ja z lepszych rad.
Proszę z sobą, a obu, co w miasto zawitał,
Prosi na repas copieux pan baron Kapitał.

Swarek lingwistyczny
przy
28 STOPNIACH GORĄCA W CIENIU.

— A klin klinem, Andrzeju, co się ze mną topisz?
— W Duńczewskim[11]) kanikuły jak ta, nie wytropisz,
Panie Jolancie; ale, jakże to klin klinem?
— Choćby u Romka żary potłumić węgrzynem?
— Brzmi nieco osobliwie, wzdy znośniej nam będzie,
Otóż służę... Fiu! chłódek! — Jak pod klon łabędzie,
Zatoczmy wiosły ramion, pod ten piec taflowy —
— I wysapajmy w sofce téj płótno-skórkowéj,
Pozadrzwiowe opały. —
　　　　　　　　　　— Tymczasem tam, panie,
Racz nam tu z popod progów! —
　　　　　　　　　　— W moment, siódme branie?
— Byle twardak, mój złoty —
　　　　　　　　　　— Jak dąbrowne pale.
Znikł w podziemia... wnet sławi: z trudna takie ale.

— „Bodajś z tem ale"[12]) — na to mdława figuryna,
W okularach na nosie, w szczeć pstrzy się czupryna,
Przy kufelku grodzisza, w głos przebąkła z kątka.
Marsem zerknęli Andrzéj z Jolantym — jak z wrzątka,
Zasyczał żądełeczkiem jakiejś odpowiedzi,
Gospodarz z flaszką w dłoni. Studzą gniew sąsiedzi,
Potłumił interpelant, gdy jak wraz słodziutko
Ułożywszy twarz, mowę, powstał, i rzecz krótko,
Kłaniając się wywodzi. — Darujcie, rzekł, Państwo,
Staremu niewczesnego słówka samozwaństwo.
Nasamprzód — jestem Dłubek, z miejsca organista,
Troszkę człowiek książkowy, troszkę i lingwista.
Łagodniéj k'temu przerwą goście towarzysze:
— Zapewne coś od szkoły?
— Do usług się piszę.
— Witaj więc, panie szkólnik.
— Wszakże, szkólniku —
— Chodź tylko do trójeczki —
— Przepraszam, w słowniku —
— Nudzisz ba, panie szkólnik!
— Ależ bo obraza?
— Licho nam do upału zwiało bohomaza!
Jolantowi Andrzéj poszepnął na ucho.
Tamten: Panie szkólniku, prosim! wtórzy sucho.
— Panowie się uwzięli, widzę.
— Z czém u licha?
Że cię po staropolsku wzywam do kielicha?
— Pax vobiscum! czci pełna Circumferencya
Z drzwi się drugiéj komnaty ozwie.
— Eminencya!

Zkąd się bierzesz, plebanie? krzykną adwersarze.
— Za chłodem, jak wy pono, upalony w skwarze.
— Nie odrzucisz konsorcyum?
— Jakżeżby? lecz wprzódy,
Porozumienie w zborze!
— Taż ten panko chudy —
— Zadrasnął się wyrazem. Za lat naszych bowiem,
Z przekąsem chyba, siebie tam szkólnikiem zowiem.
Dziś do godności wzniosła nieświadomość mowy —
— Termin germański! przerwie purysta surowy;
Jak po słowie to „ale!“ choć dotąd w powiecie;
Lecz „którego“ z francuzka już w piśmiennym świecie,
Nie przed, jak godzi, ale po wyrazie wlecze,
Jakby poczwarę trądną, co się w słońcu piecze.
— Lente, lente, mój Dłubek.
— A brzydkie szkólnictwo,
W miejsce méj prawowitéj „*Szkoła*,“ wnet *ucznictwo?*
A ten drab „przyrodniczy“ — polskież to mi, dobre?
— Zapewne, rzecze pleban, to co iście chrobre,
Poddaństwa nie zaznało. Tych wzdy szczytów sięga,
Wyzwolonéj nauki książęca potęga.
— A owoż — znów purysta — to ictwo, te icze,
Nie zakończeniaż są prac cnych, lecz robotnicze?
— Ani słowa, mówił Xiądz, niewczesne nowoty,
I nie błahe zgotować zdolne mowie psoty.
Zgoda na zbogacanie jéj, gdzie niedomaga.
Lecz karłowacenie słów, zwrotów to już plaga,
Która, Bóg nie daj, w końcu świetną myśli szatę,
W Stańczykową jakąści poprzedzierzga szmatę —
— Jak grożą ci, „*wysiłki których*“ ją „zaznaczyć“

(Słysząc ten wyraz, chwytam się, by nie zahaczyć
Sukmany gdzie o kołek!), to pokłuć jak ćwieki,
Nie już łaciną,[13]) ale własnéj cnéj kaleki
Krwią (biadaż nam!) kwapią się, na wskroś popsowaną —
— Ej bredzisz, Mości Dłubek! Ten szkólnik jak siano,
Pozakręcał ci w głowie wietrzne argumenta.
Zjedliby djabła, słuchaj, piórkowe panięta,
Gdyby nam Zygmuntowską tak zdarli królowę!
— Zwolna, zwolna, panowie; animuszu zbytnio,
A sprawa, rzekł ksiądz, bodaj słów nie pasożytnią.
Zreflektować uwagą wystarczy roztropną
Myśl pustą, wszak i zacnych prawd słuchać pochopną.
— Boż to jak my poczciwe w gruncie. Więc ochotniéj
Już raję — ciągnął Jolant — po téj mózgów potni,
Dalipan bodaj cięższéj, jak tamta na dworze,
Dla chreczkodziejów — w lżejszym spocząć rozgoworze.
— Słowo mi wziąłeś, Jolku; bo i gdzież wybiegły
Od kielicha języki, co suszą zaległy?
— Trafnie, Andrzeju! pleban znów, czas zwolnieć myśli,
Gdy i gospodarz z flaszką w gzygzak twarzę kryśli.
— Lejże mi, Romku, pierwszy z niéj zaraz wiwatek
Na cześć tego, co może gadulji téj kwiatek
Z grzędy kanikularnéj, choć tam w swoje fraszki,
Przesadzić zechce. — Ba, ba! Jolancie, ksiądz na to,
Zaopatrzon w wonniejsze i ten dział bogato.[14])
— Lecz czy w osobliwoście tego sortymentu?
Zagadnął Dłubek dziwnie. —

A autoramentu?

Dosadził Jolant gromko. — I szkła podzwoniły
Słowom, sercom, łysinom, co w pułap dymiły.

Przypiski.

1) Nie w zarozumiałem dzisiajszem, lecz w skromnem Sokratycznem znaczeniu, niewidzialnego patrona — rozumieć proszę. Autor.

2) Podobno W a r s z a w s k i e j, któréj ktoś z Poznania donosił w owych czasach o wyjściu w locum standi jego Zbiorku Wierszy, temi słowy: „wydał też tu pan .... swoje wiersze liryczne lecz o R y c z y w o l e.“ Słowa ostatnie są ułamkiem z listu J. Krasickiego do Księcia Stanisława Poniatowskiego, opisującego Wyjazd z Warszawy, a brzmią w zupełności:

Stanęliśmy w Ryczywole,
O którym zamilczeć wolę.

3) Ukazałyć się dzisiaj świetne wyjątki od owych zastępów krytycznej lichoty, ale kiedy jeszcze tak obciążone zobowiązaniami dawnéj prywaty! Ten spółce Redaktorskiej, tamten spółce doktrynerskiej, inny spółce umiłowań p wnych idei — wszyscy nader często niosą na ofiarę najtrzeźwiejsze zkąd inąd przekonania. Nie zaraz nam więc doczekać się krytyki, jak ją określiło świetne pióro J. Krasickiego, niestety! „Krytyka nie zwykła się „w sądzeniu spieszyć, punktu honoru nie zna, passyą się nie zaślepia, „prewencyi jest nieprzyjaciółką. Nie na tem zawisła, żeby cudzem upo„korzeniem własnej ambicyi dogadzać, ale jako braterskie napomnienie „miłości bliźniego nie przeszkadza; podobnym sposobem krytyka roztropna „oddziela pismo od piszącego, a mając prawdę za cel, obwieszcza ją t mu, „który jéj nie dostrzegł: tak zaś *cudzą delikatność oszczędzać umie*, iż „przestrzeżony, choć błąd poznaje, bez upokorzenia jednak z prawdy korzysta.“ (W Podstolim str. 41. wyd. Fr. Dmochowskiego.) Nawet jedyny znów J. I. Kraszewski, byle tylko nie zrażać szlachetnych chęci a pobudzić takowych jak najwięcéj, nie zrzadka pono mruży orle oko na niejedno zboczenie, a mierząc (jak to zwykle) szczerość innych własnego serca

dobrocią, tylko łagodnym odpowiada uśmiechem na zuchwałe niekiedy miotania się różnorodnej nieprawdy, nawet gdy sofistyka jego własnej nie oszczędza osoby.

4) Przegląd Polski, wychodzący w Krakowie (w Zeszycie III. Wrzesień, z roku 1874.) zamieścił rozprawę Dra Zatheya „O tłumaczach Homera w Polsce," która podobno osobno jeszcze odbitą została, snać ku dokładniejszemu zbudowaniu wiernych. Ta bowiem praca mieszcząca w rozciągłej wstępnej części wcale rozsądne w ogóle zdania o dawniejszych na tem polu usiłowaniach, przystąpiwszy do głównej traci zgoła przytomność, w samych już tylko wykrzyknikach sławiąc przekład Odyssei L. Siemieńskiego, którego nam postronne ludy zazdrościć będą, jak powiada; zaczem ponieważ fajerwerki uniesienia nie trwają długo, dość kuso w przyrównaniu do przygotowania, samą rzecz zbywa. Daleko ogranicznym a zwłaszcza germańskim sąsiadom do owej zazdrości, gdy posiadają w tłumaczeniu Homera przez Vossa dokonanem pracę, która tak pod względem rzeczowej jak formalnej ścisłości dopełnia wszystkich odnośnych warunków. Tenże p. Zathey wydrukował w pomienionym piśmie w następnym roku przekład pierwszej pieśni Iliady przez niewiadomego uskuteczniony wierszem miarowym który w pierwszej rozprawie potępił, udaniem się onegoż przecie zupełnie nieznajomemu tłumaczowi spowodowany do cofnięcia powyższego swego wyroku zmuszonym się widział, jak się wyraża w przedsłowiu, w którem, jakby żałując nawet téj odrobiny względności, jaką okazał dla Odyssei Ostrowskiej w dawniejszéj krytyce, wyrzuca między innemi przekładaczowi tejże aż herezye językowe. Pozostawia się mniej namiętnej rozwadze rozstrzygnięcie, czy prawdziwym jest sąd ten potępiający jako i tamten z uwielbieniem równie exstatycznem przekładający ku naśladowaniu próbę usilności tłumaczej, rażąco początkującego zdradzającą, tak rytmem nie wiedzieć podług jakich prawideł układanym, jak nieścisłością oddania rzeczy, jak nareszcie wielekroć zbyt potocznych doborem wyrazów.

5) O Księdzu Jacku Przybylskim i Antonim Bronikowskim.

6) „Dwa tłumaczenia Odyssei które posiadamy, zaszczytu nam nie przynoszą." Przegląd Lwowski.

7) Nie dosyć było ubóstwienia Krakowskiego, ale wyprawił jeszcze jakiś pan German (albo właściwiej Krakman?) kilka ustępów adoracyi z rozprawy Zatheya, przekalkowanych z polska po niemiecku do „Magazin für die Literatur des Auslandes, Berlin den 14. November 1874." Rozumiem skwapliwe a gruntowne sprawozdanie o *Panu Tadeuszu* A. Mickiewicza w tejże Gazetce (jeśli mię pamięć nie zawodzi) swego czasu; ale co zamierzono zachwalaniem przekładu L. S. Niemcom, dziś tak nie pochopnym do czytelni polskiej jakiejbądź, a dopieroż dzieła, nie mogącego przyrównywanem być, cokolwiek tam sobie twierdzi pan Zathey, do ich rzeczywiście mistrzowskich tłumaczeń Homera przez Vossa dokonanych,

na dalsze nawet przestrzenie — wdzięczny byłbym, gdyby mi kto łaskawie wyłuszczył. Przecież wyrojonego jakiegoś duchowego pokrewieństwa z wielkim towarzyszem nadniemeńskim aż do tego stopnia, ażeby z nim społem błyszczeć i w zagranicznych panegirykach, nie odważę się przypuścić! Lubo złośliwość ku temu mogłaby się skłaniać, śledząca na licznych miejscach dzieł L. S. usilność naśladowania niezrównego i w prozowem własnego ustroju wyrażeniu, tak wysoce obrazowem a prostem zarazem, mistrza, które jakkolwiek owładywa wyobraźnię i czucie przeważnie, jednakowoż zawsze i rozumowi wypowiada dostatkiem, czego chciało; — gdy tymczasem imitowana proza L. S. odurza zmysły przyjemnie, lecz i siłę myślenia zarazem, że zgoła nic a nic nie wiesz, o co piszącemu właściwie chodziło. Czyżby i sam ulegał niefortunności uganiania się za gwiazdą myśli po tych ducha okolicach, w których cień jej tylko chwytać możność? Przypuściwszy atoli tamto, czego ja nie śmiem przypuścić, zagadka łatwo się rozwięzuje a pan Zathey ku temu ułacnieniu, mimo chęć i wiedzę, nie mało dopomaga gdy w owym wstępiku do przekładu Iliady kanonizując wyborowe tłumaczenia polskie, ponad rzeszą niższych bogów wysoko, w kanonie Mistrzów tuż obok Giaura Mickiewicza stawia Lucyana Siemieńskiego Odysseję.

8) Horacynszowskie „*Cokolwiekbądź podobać się powinien poeta*“ płytkie. Bo nie zawsze i nie do każdego sądu usposobioną jest publiczność. Aby Homer zwłaszcza podobał się polskiej, wprzód ją doń przygotować potrzeba rozciągło subtelną pouką o istocie poezyi klasycznej w ogóle, a szczegółowo o tem (że tak powiem) g ę d z e n i u wpółdziecinnem pierwocin helleńskiego świata, nie na słowach zbyt prostych, ale na układzie rzeczy o muzyczno-wspaniałym potoku języka, zasadz jącego uroki p eśni bohaterskiej. Na za publiczność na dals e rozmiary dotychczas bodaj tak jeszcze ponurzona w początkach wyobrażeń o istocie formy poetycznej, że nieledwo nie uważa wcale za poezyą tego, co wydane jest bez odpowiadających sobie końcówek. Nie przeto jednak wypadało bałamucić ją bardziej jeszcze nasuwaniem, w miejsce czysto rytmowego, rymowanego trzynastozgłoskowca. A znowu niby to klasycznie wykształceni nieliczni u nas wiedzą wprawdzie coś o hexametrze z Wirgilego, którego w szkołach odnośnych przekładali; ale ducha epopei greckiej wystawiają sobie w postaci Aeneidy, a już podźwięk mowy Homera, nie inną, jak podniosło, brzęczno deklamacyjną dykcyą Wirgilego rozbrzmiewający. Stwierdza to przekład Iliady Fr. Dmochowskiego, w braku znajomości greczyzny, domysłem na nutę Marona oddany.

9) N. p. XIII. w. 161—164 „*zaczajony*“ (!) *czekał...* Poseidon *wyskoczył*, *palnął weń pięścią z góry(!)* XXIV. w. 314—320 że się spotkamy z sobą nie *na sucho.(!)* Starca owionął *dym zgryźliwy* smutku, Odys *nozdrzami parskał wydętemi.* Rażące i to porównanie z koniem, a całkiem dowolne, bo żaden wyraz oryginału nie uprawniał do podobnego odniesienia, mniejsza że nawet niesmacznego. Starożytni wprawdzie nie odrzucali wy-

stawiania ludzi z własnościami zwierząt, jak zaraz Horacy (w Satyrze II. 1.,) powiada o cesarzu Auguście, że rozgniewawszy się, czy zniecierpliwiwszy, *kopie;* ale czynili to w położeniach komicznych, nie tak rzewnych, jak obecne. Przykładów, jakich dorywczo przytoczyłem kilka, można w tłumaczeniu L. S. nieraz na jednej karcie, gromadą nazbierać. Popadł zaś w tak mnogie niedostatki dość biegły skądinąd w swojem rzemiośle pracownik, obok pospiechu i jakby lekceważenia sobie czytelnika swego, po części także skutkiem nie dość umiejętnej usilności, oddania pierwowzoru na nutę pieśni gminnej, zaczem zastósowawszy doń podźwięk naszej sławiańskiej, grubo zniżył ton oryginału. Ton wprawdzie brzmi na nutę pieśni gminnej, ale będącej gawędą nie o Wilkołakach lub zaczarowanych księżniczkach, opowiadaną przy palącem się na ognisku łuczywie w chatach sielskich wieczorem, lecz odbijającą stłumionem echem wrzawę walek zażartych pod Troją, staczanych przez całe ludy o byt nietylko państw, ale idei oraz — wolności europejskiej a znieruchomienia myśli, jakie do dziś dzień znachodzim w Azyi.

10) Pisemko od roku przeszło wydawane w Krakowie staraniem profesorów Wszechnicy Jagielońskiej, a zamierzające w jak najtreściwszym sposobie poznajamiać publiczność z wartością dzieł wychodzących. Nie małej sądu bystrości a pokoju ku temu potrzeba.. Ocena przekładu Odyssei L. S. jest powtórzeniem wykrzykników p. Zatheya, nic więcej, w gruncie, tylko podostrzonych solą rubaszności, szczypać mającej wrażej współzawodniczące z wielkim metafrastą zachciewki innych. Drobnostkowe filologiczne uwagi, zdradzające z jakiej pracowni wyszedł ten artykulik, nie są bez pouki, chociaż nie własnej.

11) Wiadome Kalendarze dawne.

12) W powiatach pogranicznych spójnik przeciwstawiający *ale* z niemiecka (aber) po wyrazach kładą.

13) „A polszczyznę łaciną dziurawi jak ćwieki." J. Krasicki.

14) Wiersz niniejszy napisany snać pierwotnie dla którego z dzienników, gdzie nie udało mu się wyprosić gościny. Zmonopolizowały się coś u nas już, nie jedno polityczne, ale i czysto naukowe mądrości wyrocznie. Jest to wprawdzie jeden z rzadkich objawów samoistności, tylko obawiać się wypada, żeby w przeciwnym całkiem zamierzonemu nie działał kierunku. Najosobliwsze *quid pro quo*, rzucone swobodnie pomiędzy umysły czynne, pobudza niekiedy niespodziewane wyniki zastanowienia się nad rzeczą; najżwawsza natomiast duchów ruchliwość, poddana kwarantannie lub zakleszczona w dyby uwidzeń redaktorskich, nie zapłodni niw, jak chyba kwiatami — pokrzywy.

15) Swarek sobie swarkiem, lecz myśli o które potrącił pobudzają do zastanowienia się poważniejszego nad rzeczy istotą, wcale nie

błahą. Oto uwagi, które nasunęły już nie lutniście, niestety, z powodu nieznośnego skwaru bodaj także za aforystyczne... Od czego przecież wymiana tego, co w głowach zaświeci? Czego jeden nie dowidział, dopatrzy drugi, wydoskonali trzeci i czwarty.

Wprawdzie pod wpływem klasycznych wzorów wykształtowała się myśl narodowa za czasów samoistności politycznej, zaczem wyrobiła widomo jéj forma, to jest język. Ktokolwiek jednak pilniéj temu językowi Zygmuntów przypatrzy się, znajdzie, że wyrobienie onegoż wcale nie odbyło się mechanicznie, ale że owszem odrębność polska nie mało w téj pracy współczynności swéj wykazała. To co przypomina w nim rzymskie i greckie mistrzowstwo odnosi się głównie do budowy okresów, nie do pojedyńczych wyrażeń, wyrazów i tychże naginań. A znowu pod tamtym względem, nie sprostają nowoczesne mowy nauczycielkom. Chociażby wreszcie usprawiedliwiło się ujęcie tego i owego ku nadaniu językowi więcej swobodnego ruchu; to jeszcze przeto nie usprawiedliwia się ogołocenie jegoż tak bogatéj dykcyi a treściwéj z ozdób, każdéj mowie przyrodzenie właściwych.

Język wprawdzie lud tworzy pod przewodem myślowych naczelników swoich, a tworzy go powodowany przeważnie uczuciem przyzwoitości lingwistycznéj, bezwiednie. Jaki atoli lud język wytworzy w czasach najpełniejszéj swéj dziejowéj działalności, taki ostrożnie tylko naprawiać i ubogacać, ale nie wypaczać godzi się potomkom, zwłaszcza w dobach, w których żywe poczucie mowy ojców słabieje, w skutek niezależnych od nas sił przeciwnych nacisku.

Zmuszona w szkole i w życiu rozpamiętywać poważne wizerunki objawu myśli umysłowość polska za czasów Zygmuntowskich, takiż tok nadawać swoim przywykła i nadała. Ztąd wykształtowała się dykcya jaką w pisarzach tamtego wieku znachodzimy, a któréj nie poprawiły następne, bo nie masz doskonalszéj. To tło języka więc zatrzymać, tego skrupulatnie pilnować, my następni obowiązani jesteśmy.

Dzieje się jednakowoż nieomal całkiem przeciwnie. Lubo zniewoleni po szkołach uczyć się myśleć to po niemiecku, to po francuzku, lubo następnie w życiu dla braku własnych, zmuszeni jesteśmy ucząc się z dzieł obcych mimowoli wdrażać myślenie do sposobu pisarzy tychże utworów; to tłumaczy ten wieloraki środków niedostatek, nie jedno zboczenie, ale go nie uniewinnia a nie oczyszcza bynajmniej od wszystkich, tak licznych.

Wzory dla myśli ojczystéj pozostawiła nam wielka przeszłość, a te na których i ona formowała się, otworem są dla nas tak dobrze, jak były dla niéj. Nauki starożytne dla wychowańców zwłaszcza szkół w Niemczech i Francyi, tak samo świetnie uprawiają się, jak uprawiały dawniej. Że popędy czasu materialistyczne, samych ziem tychże synów porywają od szparkich myśli dziedzin, w których za starożytnych czasów lubowała, ku wiotkim jéj bujaniom, że pisarze niemieccy i francuzcy dni obecnych, wyrodzili się od poprzedników swych na klasycznych wzorach wyrosłych w wielkość

jakiejże prawie miary — to nas nie uwalnia od winy. Owszem têm ciężéj waży na szali prawda, iż dla nieszczęśliwych têm droższemi być powinny pamiątki lepszéj przeszłości, a jeszcze — jakie pamiątki!

Gdzież to się działa ta bogata konstrukcya imięsłowowa naszych ojców w ich treściwej polszczyznie? Tyle ledwo zatrzymaliśmy z niéj w dzisiajszéj stylistyce, ile jéj francuzi nam ku naśladownictwu wskazali. Ale mowa francuzka rozbitkiem tylko jest łacińskiéj, a nasza samorodną, łatać się bądź jak bądź nie mającą powodu. Jakąż to i w ogóle jest ta nasza dziś peryodystyka?

Każda myśl treściwa, kiedy ją z powagą wywodzisz z kłębka, rozpada ci na mnogie odłamy, które w różnorodnym logicznym stosunku do siebie układają się. Tym surowym oddana przez wyrazy wywodem, bez natężenia wielkiego wyleje się okresem pięknie zbudowanym, którego umysł równo pożąda jak treści, bo nietylko prawdy, ale i piękna poczucie nosi w swem łonie, a zadawalnia to drugie pragnienie numerycznym słowa wydźwiękiem. Ku oprawie owych głównéj myśli odłamów w zdaniu, służą najpodatniéj imięsłowy właśnie, tak obfite w naszym języku, a w zastosowaniu po dziś dzień zgoła zaniedbane. Ale tak samo grzeszyliśmy i grzeszymy coraz to więcéj zarzucaniem używania gołych przypadków, zastępowanych dziś za Niemcami lub Francuzami rzeczownikami z przyimkiem, a przecież tyle jędrności nadawały one niegdyś wyrażeniu, kiedy słabią je nowoczesne dodatki. Nie skończyłbym, gdybym daléj wyliczał te swawole nieoględne, ale odkładając ścisłość do specyalniejszego rzeczy wywodu, dziś potrącam o zasadnicze tylko. A tu pominąć mi nie podobno innego rodzaju rozpusty po prostu.

Otóż miasto bogacenia języka przysparzaniem mu wyrażeń których jeszcze nie posiada, czyto stwarzając w duchu jego całkiem nowe, czy przyswajając z pobratymczych narzeczy, czy powracając do godności zarzucone dobre dawniejsze — cóż robimy? Wprowadzamy na nowo wyrazy dawne zagraniczne na które mamy własne, lub istne dziwadła, a ustalone używaniem wyrzucamy albo przekręcamy niesmacznie. Jak człowiek od człowieka, tak naród od narodu uczyć się przeznaczony. Bo ludzkość solidarnie związana. Wszakże rozpadają jednostki, rozpadają względne całości narodów na samoistne całostki, i téj samoistności zbywać się nie wolno im. Schulwesen Lehrer mają w niemieckim języku rozumowo-językowe uprawnienie. Tamto jednak znaczy w polskim *Szkoła*, która w języku naszym nietylko bezpośrednio budynek do nauki, ale i przenośnie, to ku czemu przeznaczony jest, wyraża. Czemu nie trzymać się oznaczenia przyjętego? Czemu spychać je niedokładnemi *Szkólnictwo*, *Szkólność*. Zakończenia w języku naszym na *ość*, *ność*, nadają się wprawdzie oderwanym pojęciom, jak np. *spólność*, *godność*; lecz tylko takim. Atoli Szkoła w powyższem znaczeniu, zawiera wyobrażenie oderwane i bezpośrednie (konkretne) zarazem a zatem zastąpienie jéj *Szkólnością* jest niedostateczne a oraz nieco śmieszne,

gdyż przypomina rzeczy wyobrażeniu na wskroś przeciwne. Zakończenia na *ictwo, icze* oznaczają wprawdzie czynności, nawet wielce duchowe nieraz, zawsze jednak mające na celu coś praktycznego, jak *prawnictwo, sądownictwo, pszczelnictwo* itd. a *Szkoła* jako taka, Schulwesen, wyłącza przedmiot z utylitarnego zakresu, w czysto teoretyczny go wynosząc — umiejętności. Tak samo niemiecki Lehrer przetłumaczony na *Szkólnik* zniża pojęcie. Bo jakiegokolwiek stopnia będzie nauczyciel, będzie on zawsze wyobrazicielem *nauki* uprawiacza, jako takiej, a nie przedstawicielem zastósowywacza nauki, jakim jest *sokolnik, stolnik, rólnik* itd. Końcówka *icze* nadaje się również zajęciom wyłącznie praktycznego zastósowania a nie umiejętności jako takiej baczącym; jakżeż można obdarzać nią dostojne *Nauki przyrodzenia?* Mówiliśmy dawniej *znaczyć, odznaczać, naznaczać*, ilekroć coś z przyciskiem uwadze wskazać pragnęliśmy. Naraz zjawiło się *zaznaczać*, w témże rozumieniu, nie wiedzieć poco? a śmiesznie. Bo nikt nigdy przedtém dodatku *za* do słowa *znaczyć* nie doczepiał, wiążąc go jedynie z wyrazami, które w przymierzeniu do powyższego, wesołość budzą. Mówiono dobrze i mówi się, *zahaczać, zataczać, zarywać.* Nawet sensu, zdaje się, niema owo zbratanie; albowiem to *za* wyraża widocznie prawie tyle co *dokoła*, jak to poświadcza wyraz *zagarniać;* tymczasem w owém *zaznaczać* chodzi wyłącznie o napiętnowanie czegoś, a *nie* o zgarnowanie jakieś czegoś.

Zaimki względne *który, która, które, jaki, jaka, jakie,* ojcowie nasi zawsze przed wyrazem do którego się odnoszą kładli, a nie po nim, jak to Francuzi czynią. Pytam o powód, dla którego wyparto je z uświęconego powagą miejsca na drugorzędne cudzoziemskie? Sam żadnego domyślić się nie zdołam. Takiegoż wyświecenia domagać się muszę, na zmianę zakończeń w wyrazach *interesa, temparamenta* itp. na „*y*.“ Więcej polskiemi przeto nie stały się te wyrazy, iż teraz wymawia się *interesy, temparamenty.* Więc pocóż to? Widzę również tylko wypaczanie mowy a nie jakiekolwiek jej zasilenie, w wywyższeniu potulnego *podnosić*, dawniej tylko właściwie używanego, do zaszczytu jakiejś przenośni franzuzkiego *relever. Z przyciskiem powiedzieć, odznaczyć coś* itp. wysławiali się ojcowie, a każdy rozumiał, co mówili.

Obyśmy, baczniejsi na to, że myśl a wyraz to nierozerwalna jednia, raczej w istotę pierwszej szparciej wnikać zechcieli! Uwidomiłoby się wrażej, o co w wyższych na rzecz poglądach uczepiać tamtę a od czego chronić wypada, a ten tu jak strzedz i pielęgnować należy, ażeby nie zmarniał. Wskazane osobliwości lingwistyczne, pojedyńczo wzięte, błahostkami wydadzą się, wszakże uważane razem — ciężko spadają na szalę! Bo w cóż się w końcu istotnie zamieni mowa ojczysta, jeżeli ją tak po kawałku przeinaczać będziemy? W mozajkę podobno, do której, zaprawdę, nie przyznaliby się Skargowie i Krasiccy! Czy zyska i zasadnicza myśl narodu na téj maszkaradzie jej wyjawu tak niedoborowego? (Przyp. Autora.)

Czcionkami W. Deckera i Sp. w Poznaniu.